

## ZBIGNIEW KARKUSZEWSKI

ur. 1952; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, PRL, cegielnia Rekord, praca w cegielni, projekt Lubelskie cegielnie. Materia miasta

### Cykl produkcyjny cegielni

Cykl produkcyjny był złożony, był w niego zaangażowany szereg ludzi. W pierwszym etapie, jeszcze w latach 50., te warunki były bardzo trudne. Były mieszadła, do których glina była zwożona specjalnymi wózkami, które się nazywały koliby. Glina była wydobywana w rejonie Wojciechowskiej, tam, gdzie teraz stoi centrala techniczna, Lubgal. Olbrzymie pokłady ziemi były stamtąd wybrane. W późniejszym okresie, jak już nie można było eksploatować tych terenów, to ziemia była dowożona z Zimnych Dołów, mniej więcej, jak w tej chwili będzie przebiegało przedłużenie Solidarności. W tym mieszadle zostało to zasypane, zalane wodą i później było napędzane przez konie. Dwa konie były na tej cegielni. Jak glina była już odpowiednio wyrobiona, wymieszana, to pracownik wydobywał ją na specjalne taczki i dowożono to na plac, gdzie panie wyrabiały glinę. Ta glina została wyładowana na stół dla formiarek – panie, które produkowały cegłę, nazywały się formiarki. To była ciężka praca. Forma, którą musiały dźwigać, była z deski drewnianej i na dwie cegły. Pomagaliśmy nieraz mamie trochę przy produkcji. Pomoc polegała na tym, żeby oderwać kawał gliny, takiego klusa, tak to się określało. Na tym stole podsypywało się piaskiem, żeby ta glina mokra się nie kleiła. A mama sobie przypiąskowywała formę w piaskownicy tak zwanej – była przy stole taka piaskownica, w której się znajdowało kilkadziesiąt kilogramów piachu. I formiarka po prostu obtaczała sobie formę w piasku i nabijała do niej te klusy. Jak już nabiła, to obcinała naddatek gliny strychulcem. To był taki kabłak z pręta żeliwnego, do którego był założony drut. Odrzucało się nadwyżkę z powrotem na stół. Następnie formiarka zanosila tę formę na plac i szybkim, energicznym ruchem wykladała to na ziemię.

Cegła sobie tam musiała kilka godzin schnąć. Jak już była na tyle twarda, że dało się ją postawić na sztorc, to następowało tak zwane kantowanie cegły, czyli podnoszenie z pozycji leżącej na pozycję stojącą. Po kilku godzinach, jak to wyschło na tyle mocno, że można było wziąć do ręki i się nie rozpadło, to trzeba było zwieźć pod

szopę do dalszego suszenia. Cegły ustawiało się na taczkach drewnianych, które się nazywały "kary". To też była niezbyt miła praca, bo to była ciężka drewniana taczka z kółkiem żelaznym. Na dodatek, żeby się nie grzęzło na placu i łatwiej było jeździć, pod szopami układało się bale blaszane. To były pasy blachy po kilka, kilkanaście metrów długości i 15 centymetrów szerokości. Więc trzeba było cegłę zwieźć, poustawiać pod szopą w celu dalszego schnięcia. Ustawiało się ją trochę skosem – to się nazywało "ustawianie w szrank" – do pewnej wysokości. Później, jak już cegła na tej wysokości wyschła, to po 2 dniach następną porcję można było ustawić już na pełną wysokość, to z reguły było w granicach dwóch metrów wysokości.

Później pracownicy musieli wysuszoną cegłę zwieźć spod szop do pieca. Ci pracownicy, którzy się tym zajmowali, to byli tak zwani "zimni". Tam był jeden człowiek, który ustawiał cegłę w piecu, między innymi mój tato przez długi okres to robił. Było jeszcze z pięciu pracowników, którzy to zwozili spod tych szop do pieca i pomagali ustawiać. To też musiało się odbywać w odpowiedni sposób, żeby później uległo dobremu wypaleniu. Czyli trzeba było przestrzegać trochę technologii, żeby odpowiednio ustawić do pewnej wysokości. Jeszcze były w tym piecu dziury w suficie, przez które z góry zasypywało się węgiel do wypalania. Po tym ustawieniu przesuwało się wypalanie cały czas. Z jednej strony szło wydobyć już wypalonej cegły – wywożenie na zewnątrz albo bezpośrednio do odbiorców, a z drugiej strony zwozili do wypalania. Z kolei ci, co wywozili wypaloną cegłę, to się nazywali „gorący”. Też mieli warunki nie do pozazdroszczenia. W tym piecu było bardzo ciepło, bardzo dużo kurzu, bo popiół po wypaleniu cały czas pod nogami się mieszał. Ci „gorący” mieli bardzo utrudnione zadanie, dlatego że cegła niejednokrotnie była bardzo gorąca, do tego stopnia, że jak ją człowiek postawił na taczkę, to niejednokrotnie deski się zaczynały palić. Żeby się zabezpieczyć przed tym gorącem, to mieli takie na ręce, dorabiane z grubej skóry, tak zwane łapki. Każdy pracownik sobie sam nożem wyciął, odpowiednio zabezpieczał dłonie i duży palec. I w ten sposób można było gorącą cegłę brać, chociaż niekiedy i to nie zapewniało bezpieczeństwa, bo niejednokrotnie ktoś ręce poparzył. A żeby do tego nie dochodziło, to maczali sobie dłonie w wodzie, która stała w wiaderku gdzieś obok. Albo człowiek, który wchodził na takie podwyższenie, żeby zdjąć cegłę z góry, to niejednokrotnie wkładał na siebie kufajkę tak zwaną, czyli taki waciak, kapelusz, obsmarował gliną i twarz, i kapelusz, i ręce, żeby nie dopuścić do poparzeń.

Odbiór cegły był niekiedy bardzo duży, bo budowy wszelkie stały i czekały na cegłę. Przyjeżdżały samochody, głównie z Transbudu, tudzież prywatni odbiorcy końmi zabierali, to ludzie czekali niekiedy od 3-4 rano w kolejce, żeby dostać cegłę. Bo cegły brakowało wszędzie, dlatego było tak dużo cegielni wokół Lublina.

Jeśli chodzi o wypalenie cegły, to polegało to na tym, że trzeba było na górę najpierw

przywieźć miału węglowego. Też miałem okazję przy tym uczestniczyć, bo jak tato był palaczem, to zwoziliśmy węgiel na górę w taczkach. To wyciągało się za pomocą takiego drutu, jeden wypychał, drugi tym drutem podszarpywał za taczkę, zaczepiał i pomagał wjechać na górę, żeby ten węgiel wysypać. Palacz z kolei, jak już to wypalał, to w dziurach, tak zwanych ryjkach, podnosił pokrywkę, która się nazywała fajerką, i zasypywał węgiel. Z tego, co pamiętam, to tam temperatura panowała w granicach 800 do 1000 stopni. I cegła ulegała wypaleniu.

Cykl produkcyjny trwał dosyć długo, bo jak produkcja cegły zaczynała się na wiosnę, w okolicach kwietnia, jak już warunki pogodowe pozwoliły, to kończyła się z reguły wrzesień–październik. Ale cegła była jeszcze zmagazynowana pod szopami w sposób szczególny, to samo wypalanie trwało niekiedy do grudnia, niekiedy i dłużej. Jeśli było bardzo dużo cegły, to do stycznia–lutego. Także roboty nie brakowało. Jeśli chodzi o magazynowane cegły na okres poprodukcyjny, to jeszcze w okresie letnim, żeby zrobić miejsce na jej składowanie pod tymi szopami, to się ustawiało ją na ściśło, jak już była dobrze wyschnięta. To mówiło się, że to jest „gamowanie cegły”, czyli takie składowanie na magazyn. To było aż pod sam dach na ściśło ułożone. Później, kiedy już produkcja na placu nie szła, to ci pracownicy, którzy mieli za zadanie zwieźć cegłę do pieca, odbierali z tych gamówek i zwozili. W okresie już jesiennym, to było trochę utrudnione, bo place często były mokre. Trzeba było się przebijać pod tymi szopami, od szczytów po kolei odbierać trochę tej cegły, żeby można było karą przejechać.

Później, w połowie lat 60. albo gdzieś pod koniec, weszły do użytku wózki do przewozu cegły, to już ta praca była trochę lżejsza. Te wózki były wygodniejsze, jazda już była na tyle spokojna, że nie trzeba było przestawiać tych bali blaszanych, już wózki nie grzęzły w glinie, można było więcej cegły nałożyć na taki wózek. Także to było o tyle wygodniejsze. Praca też się zmieniła trochę, jak wprowadzono te wózki, to wprowadzono również inny rodzaj dostarczania gliny na place, gdzie panie wyrabiały cegłę. Nie było już kilku sznajdrów wokół terenu cegielni, tylko była postawiona maszynownia i tam ziemia została wciągana w tych samych kolibach, natomiast robiła to maszyna. Był potężny silnik, który wciągał po dwa wózki na górę. Ziemia zostawała wsypana do specjalnego dużego mieszadła, które wyrabiało tę glinę. Tylko podstawiano później takie stoły specjalne na kołach stalowych i na szynach transportowały one glinę na place. Każdy plac miał taką zwrotnicę na brzegu i to można było w bardzo łatwy sposób ukierunkować. Niemniej jednak to było też uciążliwe, bo żeby wepchnąć i dostarczyć taki wózek, to trzeba było dwóch chłopów z krwi i kości. Ale o tyle było lepsze, że już nie trzeba było przestawiać tych stołów, tylko wystarczyło ten wózek trochę odepchnąć, zablokować, podłożyć hamulec, żeby to nie ulegało przesuwaniu. I tych piaskownic też już nie trzeba było przestawiać, tylko były takie na kółkach, że można było fajnie przesuwac.

Ten cykl bezpośredniej produkcji cegły to praktycznie się nie zmienił do samego końca. Były przez pewien okres próby uruchomienia produkcji automatycznej, z takiej maszyny. Ale to nie wyszło i po kilku dniach zrezygnowano, bo to wymagało i specjalnej szopy, i specjalnego przewożenia tej mokrej cegły, i ustawiania. O tym cyklu produkcyjnym to już w szczegółach nie opowiem, bo na początku lat 70. już w zasadzie miałem do czynienia tylko ze sprzątaniem cegły. Bo już jak pracowałem, to nie bardzo się w to angażowałem, każdy z braci był już samodzielny i tylko tato został przy wypalaniu cegły. Tato mój pracował w zasadzie do końca produkcji w tej cegielni.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2018-06-25, Lublin
<b>Rozmawiał/a</b>	Tomasz Czajkowski
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"